



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.— Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.— Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

INDYKI.

Patrząc na ptaki nasze domowe, żyjące pod opieką człowieka i zupełnie ze swego losu zadowolone, bo innego nie znają, może wam nawet na myśl nie przyszło, młodzi czytelnicy, że to nie jest stan ich naturalny. A jednak, zastanowiwszy się, pojmiecie sami, że gdyby ludzie nie utrzymywali ich w tej niewoli dla swojego pożytku, te kury, kaczki, gęsi, indyki, żyłyby sobie dziko i swobodnie po lasach i polach, tak samo, jak wrony, sroki i wróble. Dzikie gęsi i kaczki, odmiennie nieco od domowych, żyją i w naszym kraju na wodach i mogliście je widzieć, ale nigdy nie zdarzyło się wam napotkać dzikich

kurek i kogutków, ani dzikich indyków. To dla tego, że ptaki te pochodzą z innych części świata, kury z Azji, a indyki aż z Ameryki; przed odkryciem tej części świata przez Krzysztofa Kolumba, nikt ich nie znał w Europie, tak samo, jak nie znano tytoniu, kukurydzy i kartofli.

W ojczyźnie swojej, Ameryce północnej, indyki przebywają gromadnie po lasach i gromadnie także odbywają wędrówki, szukając obfitszego pożywienia, a wtenczas mieszkańcy okoliczni urządzają na nie najrozmaitsze polowania. Samica wysiaduje jaja na wiosnę; gniazdo urządza sobie na ziemi, w jakiegokolwiek jamce, którą wyściela piórami; zdarza się czasem, że dwie, a nawet trzy indyczki siedzą wspólnie na jednym gnieździe. Pisklęta po wy-



Indyki.

kluciu zaraz zaczynają biegać, to też matka nie potrzebuje z nimi długo w gnieździe pozostawać i zwykle już na drugi dzień odprowadza je dalej, wybierając miejsca suche, bo wilgoć szczególnie im szkodzi.

Indyki mają mnóstwo nieprzyjaciół pomiędzy drapieżnymi ptakami i czworonożnymi zwierzętami, muszą więc ukrywać się starannie. W dzień zwykle chodzą po lesie, zbierając rozmaite jagody i nasiona z drzew opadające, na noc zaś sadowią się na gałęziach; małe zazwyczaj już we dwa tygodnie mogą także podlatywać. Ale indyki dzikie, tak jak i domowe, rzadko kiedy używają skrzydeł swych do lotu; za to biegają wybornie i nawet wędrówki swoje odbywają pieszo. W jesieni zazwyczaj puszczają się w drogę, kiedy już młode podrosną; samcy w osobnych gromadkach idą naprzód, wyszukując dla siebie najlepsze pożywienie. Za nimi, w tę samą stronę, zdążają samice z młodem. Wszystko idzie dobrze póki nie napotkają po drodze szerokiej rzeki; wówczas cała gromada czasem przez dni kilka obozuje na brzegu, jakby namyślając się i naradzając, co dalej począć. Samcy ustawicznie się nadymają, rozkładają ogon i hałasują po swojemu; wyraźnie usiłują przezwyćczyć obawę, nadrabiając miną—w końcu, jeden odważniejszy zrywa się do lotu i cała gromadka puszcza się za nim. Stare indyki bez wielkiej trudności dostają się na drugi brzeg, ale młode często znużone upadają w wodę, zwykle jednak, robiąc jak mogą skrzydłami i nogami, wpław zdążają za innymi i rzadko kiedy toną. Ale po tym wysiłku biedne ptactwo jest jakby odurzone, traci zupełnie głowę, biega tu i ówdzie, opuszcza je wrodzona przeczność i instynkt zachowawczy i wtenczas to zazwyczaj czatują na nie myśliwi. W ludniejszych okolicach Stanów Zjednoczonych dzikie indyki już prawie zupełnie wytępione zostały; liczniejsze ich gromadki przebywają tam tylko, gdzie w rozleglejszych puszczech mogą się ukryć przed napaścią ludzi.

Przypominacie sobie zapewne, czytelnicy, to cośmy już nieraz wspominali o klasyfikacyi zwierząt; teraz zaś słuchając opowiadania o obyczajach indyków, spostrzeżcieście za-

pewne odrazu jakie są cechy najgłówniejsze, któremi te ptaki wyróżniają się wśród skrzydlatej rzeszy. Najpierw rzadko kiedy latają, ale przeważnie biegają po ziemi; skrzydła ich znacznie też mniej są rozwinięte jak u innych ptaków, które się ustawicznie unoszą w powietrzu, za to nogi mają silne, opatrzone tępemi pazurami, wybornie zastosowanymi do grzebania ziemi. Otóż z tego powodu wszystkie ptaki podobne noszą ogólną nazwę grzebiących. Już pewnie przyszło wam na myśl, że kurki, które tak ciągle rozgrzebiują ziemię pazurami, szukając robaków i ziarn, należą do tegoż samego rzędu. Druga cecha ptaków grzebiących jest także bardzo ważna. Nigdy one nie urządzają zbyt starannie swoich gniazd, bo pisklęta ich nie potrzebują wielkich starań; odrazu wykluwają się z jajek porządnie opierzone, z otwartemi oczkami, zaraz też zaczynają biegać za matką i zajądać z nią razem. Wszak każde z was widziało zapewne malutkie, świeżo wylęgłe kureczątka lub indyczątko. Jakaż to różnica od tych niedołącznych piskląt, które samice wróbli, pliszek i tylu innych ptasząt, hodują w swoich gniazdeczkach.

Najpożyteczniejsze ptaki domowe, indyki, kury, perlice, bażanty, należą do rzędu grzebiących. Z gatunków żyjących dziko w naszym kraju, najpospolitsze są kuropatwy i przepiórki.

M. J. Z.

NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(Ciąg dalszy).

VI.

Pierwszy dzień pobytu na wsi.

Po utrudzeniu w podróży dzieci spały jak zabite; wrażenia jednak podróży, spoczynek na nowym miejscu i pod wróżbą nowych, nieznanych dotąd, przyjemności—wywołały nad ranem marzenia, sny rozmaite.

Zosia trzymała się za ręce ze wszystkimi dziewczętami wioski i szybowała w takim kole przez powietrze i obłoki ku niebu. Zdala dolatywał z wiejskiego kościółka zbiorowy śpiew prostego ludu; im wyżej, tém brzmiał on silniej, potężniej.

Julcia przeniknęła wszystkie szczegóły bytu wiejskiego: poznała lud, jego mowę, zwyczaje, obyczaje, zajęcia rolnicze, zwierzęta, rośliny. Wchodzi nauczyciel na lekcję o rzeczach: o czém tylko zacznie mówić, ona wie, uprzedza go, opowiada za niego; jakkolwiek rzecz lub obrazek pokaże, ona już to zna doskonale. Koleżanki szepczą słowa podziwienia, a może i małej zazdrości. Idzie do domu,—wszystkie dzieci pokazują ją sobie na ulicy mówiąc: patrz, idzie Julcia, która jest tak mądra, jak nauczyciel pan X.; ona dumnie podnosi głowę wyżej, rzuciła w tył głową... przebudziła się, uderzywszy o brzeg łóżeczka.

Adaś tymczasem był w lesie, biegł za wieiórką, przerzucając się z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź z wiatrem w zawody; łatwo ją schwytał, a ona bawiła się z nim, bębniąc zręcznie łapkami po jego rękach, po pierśsiach, po głowie.

Gdy dzieci tak przyjemnie marzyły, mama już była na nogach; rozpakowała walizę i przed każdym z nich położyła na krzeselku ubranie, na wieś przeznaczone. Dziewczynki otrzymały bluzki z niewarowego surowego płótna, fabryki żyrandowskiej, z guzikami i ubranie z granatowego kretonu. Garnitur Adasia był z tego samego materiału, nie było jednak przy nim granatowych wyłogów i guzików, stosownych dla dziewczynek, a tylko szeroki pasek skórzany.

Następnie mama pobudziła dzieci, mówiąc że szkoda przesypiać dnia pięknego. Dzień był bardzo pogodny i jasny, słońce świeciło jaskrawo, prosto w okno; powódź światła i blasku, jakby łuna pożarna uderzyła oczy, dopiero co ze snu otwarte, na szybach odbijał się przezczysty lazur nieba. Dziewczynki zamrużyły oczy, Adaś, korzystając z tego, że spał na osobności w alkierzu przy łóżku ojca, zamknął je zupełnie i otworzył dopiero wtenczas, gdy mama przyszła budzić go powtórnie.

— Wstawaj, Adasiu, wstawaj, zobaczysz coś nadzwyczajnego,—rzekła mama.

— Wstawaj, Adasiu, zobaczysz skarby w koszyku—wołały siostry z drugiego pokoju, klaszcząc wesoło w dłonie;—wstawaj, bo znikną, wyfruną, wyparują.

Nadzwyczajna ciekawość opanowała Adasia. Zerwał się i chciał szukać koszyka, powstrzymała go mama, przypominając, że należy przedewszystkiem umyć się, ubrać, pomodlić. Zaczął się szybko ubierać, gdy tymczasem siostry wołały z przyległego pokoju naprzemian:

— My już! my już!!

Potém słyszał Adaś głos Julci:—ja już! i głos Zosi:—i ja już!—Była to zabawka Julci, naśladującej głos Zosi, która wyszła na ganek, aby tam zając się przyrządzeniem herbaty. Musiała pomagać mamie, bo dużo było w tym pierwszym dniu po przyjeździe roboty: wiele rzeczy potrzeba było rozpakowywać, rozwijać, dobierać, rozkładać, układać w szafkach, na pułkach, w szufladach.

Julcia i Adaś, zawołani przez Zosię, wyszli na ganek i zajęli wskazane sobie miejsca około stołu. Czekali tak chwilę na rodziców, jakże ona im się długą wydawała! Tuż przed niemi były piękne klomby: murawa, kwiaty, krzewy, drzewa. Świeże, ranne, chłodne powietrze, pomieszane z wonią roślin i kwiatów, a zwłaszcza aromatycznej rezedy, wpłynęło tak na dzieci, że uczuły się swobodniejsze niż zwykle, lekkie, chciały biedz dalej i dalej; były jakby na przejściu ze snów przyjemnych do rzeczywistości.

Dom był frontem ku wschodowi, słońce więc wznosiło się naprzeciw ganku. Ciepłe jego promienie dobrze już przygrzewały, ale od drzew i krzewów było jeszcze dość cieniu na ziemi i na ganku, który zresztą był dachem zasłonięty. Na trawie, kwiatkach, listkach kropelki rosy błyszczały w słońcu jak dyamenty, w cieniu była duża jeszcze rosa. Murawa w cieniu była innego koloru niż na słońcu.

— Czuć parę wodną w powietrzu, widać nawet jak rosa wysycha od słońca—rzekła Zosia.

— Nie mówi się: rosa wysycha, tylko: rosa niknie od słońca,—powiedziała Julcia,

W tej właśnie chwili weszli rodzice i słyszeli odezwanie się Julci, która powstrzymała się od dalszego rezonowania. Dzieci ucalaowały ręce rodziców na dzieńdobry. Adaś przypomniał sobie teraz obietnicę mamy.

— Mamo, mamo! gdzie ten skarb z koszykiem?

— Zobaczmy go po śniadaniu—rzekł ojciec.

Zasiedli wszyscy do śniadania, w czasie którego ojciec żywo rozmawiał z mamą, a potem tak się odezwał do dzieci:

— Przez pierwsze trzy dni, dopóki się nie urządzimy na tém mieszkaniu, będziecie mieli zupełne wakacye, potem ustanowimy pewien porządek w dziennych zajęciach i trzymać się go będziemy. Przed obiadem uczyć się będziemy, po obiedzie będziemy wychodzili na przechadzki lub dalsze wycieczki, byleby nam pogoda sprzyjała. A teraz kaźcie przynieść koszyk.

Dzieci zaczęły się cisnąć około koszyka, dobrze przykrytego, ojciec uchylił ostrożnie brzeg wieka i pokazała się w otworze główka wiewiórki. Adaś podskoczył z radości. Sen jego sprawdzał się poniekąd.

— Ach, to ta sama, którą widzieliśmy w lesie—rzekł.

— Wcale nie ta sama, wiewiórki wszystkie są do siebie podobne; onegdaj jeszcze ludzie miejscowi zobaczyli ją na tém tu odosobnioném drzewie i złapali, bo nie mogła na inne drzewo przeskoczyć.

Na prośby dzieci zanesiono wiewiórkę do pokoju i tam ją puszczono. Po kilku pociesznych a zwinnych skokach, schowała się pod łóżko Adasia, który się z tego bardzo cieszył, obiecując sobie w przyszłości zażyłość z wiewiórką. Mama mówiła, że puścić ją trzeba na swobodę. Dziewczynki zaczęły się bardzo tém smucić. Adaś rozplakał się rzewnie. Ojciec upewniał, że prędzej czy później ona sama ucieknie. Dzieci prosiły bardzo o klatkę dla niej; dowiedziały się jednak, że drewniana klatka niczem jest w obec ostrych jej ząbków, po drucianą zaś potrzebą baby posyłać do Warszawy.

Po śniadaniu wyszli wszyscy przed dom, odeszli kilkadziesiąt kroków i zaczęli mu się przypatrywać. Był to dworek bardzo schlu-

dny, choć nieokazały, bo drewniany i gontami kryty. Dawniej mieszkał tu dziedzic z rodziną, teraz przeniósł się gdzieindziej, zostawiwszy rządce w majątku. Rządca mieszkał w oficynie, a dworek wynajmowano na letnie mieszkanie.

Rodzice podziwiali drzewa, rosnące około domu; odznaczały się wielkie, wyniosłe, rozłożyste topole nadwiślańskie. Po za plecami patrzących na dworek ciągnęła się wioska Brzozówka w linii prostej, poprzecznej do drogi wiodącej do dworku; z prawej strony dworu, a z lewej od patrzących, wyglądało kilka drobniejszych budynków mieszkalnych, z przeciwnej zaś strony było kilka obszernych budowli w wielki kwadrat ustawionych, niby wzajem patrzących na siebie; były to zabudowania folwarczne. Droga skręcała się w tamtą stronę i prowadziła na podwórze pomiędzy te budynki. Za drogą widać było ogrody i łąki. Dzieci, uderzone rozmaitością przedmiotów, które pod osłoną zmroku uszły wczoraj ich uwagi, zasypywały rodziców pytaniami.

— Niewiele wam przyniosą korzyści objaśnienia dawane zdaleka od przedmiotów. Będziemy się wszystkiemu zbliżka przyglądali—rzekł ojciec—pan rządca, z którym się dzisiaj rano zapoznałem, pozwolił na to.

To mówiąc ruszył naprzód, a za nim całe otoczenie. Przybyli do wrót folwarcznych; w tej właśnie chwili nadjechał z pola na koniu jakiś pan w kurtce i małej czapce, był to pan rządca. Zeskoczył z konia, przywitał się z ojcem jak stary znajomy, a następnie, grzecznie bardzo skłonił się mamie i panienkom.

— Państwo chcecie zapewne zwiedzić nasze gospodarstwo—rzekł.—Teraz są tylko puste budynki, wszystko od rana w polu, mimo to jednak, proszę.

Stanęli we wrotach. Wielkie podwórze niezbyt podobało się dzieciom, bo nie było pięknie umiecione, nie wygracowane, nie było tam pięknej murawy ani kwiatów. Domyślił się tego p. rządca, bo rzekł do dzieci:

— Podwórze gospodarskie, to nie Saski ogród w Warszawie, chociaż i na niem są drzewa, jak widzimy. Tędy przejeżdżają wozy ciężkie i ładowne, tu się gromadzi inwen-

tarz całego folwarku. W gospodarstwie pa-
trzymy na pożytek, nie zaś na piękność; że-
by jednak nasze gospodarstwo zbyt brzydko
się nie wydało, zwiedzimy naprzód ogrody,
a potem dopiero budynki. (d. c. n.)

Czytania Wieczorne.

IV.

Już cała rodzina zajęła swe miejsca, już
p. Kański książkę otworzył, gdy wszedł słu-
żący i oznajmił, iż ma ktoś pilny do niego
interes. Na tę wieść twarze dzieci tak się
przeciągnęły, że ojciec ulitował się nad ich
strapieniem i podając Kaziowi otwartą książ-
kę, rzekł:

— Czytajcie sami; wrócę po chwili i o
przeczytanym wierszu pogadamy; a gdybym
się spóźnił, to i same zapewne rzecz zrozu-
miecie.

P. Kański odszedł, a Kazio czytał bardzo
wyraźnie i stosownym głosem:

— Tęsknota do kraju—przez Bohdana Za-
leskiego.

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?
Wiecznie w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z gęślą moją podróżną
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno!

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

Ach! przed mokrą powieką
Darmo dzień mi tu płonie,
Wzrok, jak pieśni daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie!

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płacę,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!

Smutne uczucie, wyrażone w tym wierszu,
udzieliło się dzieciom i siedziały zaszępane.
Pani Kańska ciszę przerwała:

— Ojciec nie wraca; może same potraficie
o tym wierszu powiedzieć co myślicie, a ja
mu wiernie słowa wasze powtórzę.

— Smutny to jakiś wiersz—odezwała się
Józia;—biedny musiał być ten, kto go pisał;
ale.....

— Ale... kończże, Józiu—naglił niecier-
pliwy Staś.

— Ale ja tego wiersza nie rozumiem.
W bajkach, w legendzie, w powieści biblij-
nej, które czytaliśmy, były opowiadania cie-
kawie: tu o zającu i niedźwiedziu, tam o Pa-
wle i Gawle; tu o Kindze, tam o Elizeuszu,
a w tym wierszu niema żadnej opowieści. Ja
tego nie rozumiem!

— Widzisz Józieczko—wtrąciła nieśmia-
ło Halka—bo to poezya liryczna, a tamta
epiczna...

Józia otworzyła duże oczy—widocznie
mniej jeszcze rozumiała, a Staś zachichotał
głośno.

— Otoś jęj dopiero wytłumaczyła; dopie-
ro nic nie rozumie!

W tej chwili wszedł p. Kański:

— I któż mi powie zdanie swe o tym
wierszu?—zapytał.

— Jajuz powiedziałam wszystkim, że wca-
le go nie rozumiem; bo jakże to powiedzieć
o czém tu mowa, kiedy nikt o niczém nie o-
powiada—paplała Józia.

— Doprawdy?—zagadnął ojciec.—A gdy-
bym przyszedł do ciebie, Józieczko, i powie-
dział ci: Józiu, mnie smutno, bo tęsknię do
kraju, a wrócić do niego nie mogę. Od cza-
su jak go opuściłem, o nim tylko myślę, ma-
rzę i o nim śpiewam. Napróżno Europę zje-
ździłem wzdłuż i wszerz; mówią, że ona pię-
kna bardzo—a ja przecie wszędzie widzę tyl-
ko mój kąt rodzinny; do niego tęsknię bez
przerwy i tém silniej, że dawno go nie wi-
działem i nieprędko zobaczę! Czy nie potra-
fiłabyś pójść do matki, siostry, albo brata i
powtórzyć im to, co ci powiedziałem?

— Potrafiłabym i teraz już rozumiem; ale
gdy Halka mi mówiła o poezyi lirycznej i
epicznej—to mi do reszty myśli w głowie po-
mąciła.

— Zaraz, zaraz—przerwał p. Kański - powiedz mi teraz, Józieczko, czy miałaś słusność, mówiąc, że wiersz ten niepodobny do tych, które dotąd czytaliśmy, bo w tamtych są opowieści, a w tym ich niema?

— Nie wiem—zdaje mi się—jąkała Józia, bo myślała, że wielkiego baka strzeliła.

— Dobrześ powiedziała, Józienko! w bajce, w legendzie, w powieści biblijnej, opowiedziane jest jakieś prawdziwe lub zmyślone zdarzenie; pisarz, poeta, opowiada co widział albo słyszał, albo sam w swęj wyobraźni twórczej ułożył—i dla tego taką poezją zwiemy opowiadającą, czyli z greckiego epiczną. A w wierszu dziś przeczytanym, poeta...

— Już wiem, wiem—przerwała Józia,—poeta opowiada nam, że jest bardzo smutny, bo tęskni za krajem; a więc i to poezja opowiadająca, a nie liryczna, jak ją nazwała Halka.

— Uczuć się nie opowiada, ale się uczucia swe wyraża; mogę wyrazić cześć ku Bogu, smutek, tęsknotę, radość, gniew, nienawiść. Dla tego wiersze, w których poeci uczucia swe wyrażają, nazywamy poezją uczuciową albo liryczną, bo takie poezye dają się śpiewać. U Greków śpiewano je przy instrumencie muzycznym, lirą zwanym—tłumaczyła Halka, której było przykro, że dziecko pierwój słów jej nie rozumiało.

— Teraz już wybornie rozumiem i dziękuję ci, Halko—szczębiotała Józia, wieszając się na szyi starszej siostry—ale wyznać muszę, że tylko wtenczas, gdy czytam przy oczulku; czytając sama, ledwie piąte przez dziesiąte schwyć.

— Może i na to poradzimy, moja ty pieszczośko—rzekł p. Kański.—Gdy co czytasz, czy wierszem, czy prozą, zapytaj sama siebie, skończywszy: jaka treść przeczytanego utworu, jaka jego myśl główna, jaka forma. A gdy na te pytania należycie odpowiesz—to i rzecz przeczytaną rozumieć będziesz.

— Ale kiedy bo tatko teraz tak niezrozumiale mówi, jak Halka: treść, myśl główna, forma.

— A Józia jak w rogu—nie a nie nie rozumie. Widzisz... każda droga prowadzi do Rzymu i ty zrozumiesz. Pamiętasz baj-

kę: „Wolność Tomku w swoim domku?„

— Pamiętam.

— Jakie tam wydarzenie opowiedziane?

— Spór Pawła z Gawłem.

— A jaka nauka tam zawarta?

— Aby każdemu w miarę ustąpić, bo jak ty mnie, tak ja tobie.

— A jak my ten wiersz, ten utwór nazywamy?

— Bajką.

— Otóż spór Pawła z Gawłem, to treść—nauka zawarta, to myśl główna tego utworu. Treść zaś ta i myśl wyrażone są w formie bajki, a mogłyby być wyrażone i w formie innej, np. w formie zwykłej powiastki, gdyby autor, nie stawiając przed oczy nasze Pawła i Gawła, słów ich nie powtarzając, sam spór ich nam opowiedział. A więc treścią utworu jest opowiedziane w nim zdarzenie, lub wyrażone uczucie; myślą główną, nauka w nim zawarta, a formą, kształt w jakiej ją autor ubierze.

— Naprzykład, w dziś przeczytanym wierszu—podchwycił Kazio—treścią jest uczucie tęsknoty; myślą główną, zawarta prawda, że niemasz nic droższego nad kąt rodzinny, a wyrażone to w formie pieśni i z łatwością wiersz ten śpiewany być może.

— A może drugi student mi powie, czém ta forma różni się od formy bajki albo powieści biblijnej?—pytał p. Kański.

— W powieści biblijnej np. opowiadanie płynie jednym ciągiem, a wiersz długi, poważny, o „Lasce Proroka“ ma 13 zgłosek czyli sylab i śpiewałyby się nie dał. W „Tęsknocie“ utwór podzielony na ustępy czyli zwrotki, albo strofy; każda ma po cztery wiersze; a wiersz krótki, tylko siedmio-zgłoskowy i choć smętny, tak jest śpiewny, że nawet czytając go, czuje się, o ile łatwiej byłoby go zaśpiewać.

P. Kański wziął książkę, przewrócił stronic kilka i podając Józii, rzekł:

— Za to, żeśmy cię dziś umęczyli naszymi niezrozumiałymi tłumaczeniami, przeczytaj nam ten wierszyk.

Józia poczerwieniała z zakłopotania i radości—ale dobrze wywiązała się ze swego zadania, odczytując dobitnie:

„Piękny cały świat”—przez Adama Asnyka.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży Maj,
Co roznosi woń.

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i w szerz,
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz.

Pięknym jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle.

Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz—
Świat, jak jeden cud,
Piękny wszcz i wzdłuż.

Gdy skończyła, rzekł p. Kański z uśmiechem:

— Sądząc po wybornem czytaniu, myślę, że wiersz rozumiesz, Józieczko?

— Rozumiem, rozumiem! Poeta patrzy na świat: na gaj, jezioro, blask dzienny, błękit nieba i wszystko pięknem mu się wydaje—i to uczucie podziwu dla przyrody chce ze wszystkimi podzielić, wszystkim wyrazić.

— I uwielbienie dla Stwórcy, choć tego słowy nie wypowiada—dorzuciła pani Kańska.

— A więc to poezya...

— Liryczna, uczuciowa!—dokończyła śpiesznie Józia.

— Treścią tu uczucie podziwu i błogości, na widok piękności przyrody; myślą ukrytą, a przecie jasną, uwielbienie Stwórcy; forma pieśni, a raczej piosnki lekkiej, bo strofa czterowierszowa, wiersz pięcio-zgłoskowy, śpiewny—dodał Staś.

— Tylko, że Zaleski patrząc na świat, smuci się i tęskni, a Asnykowi na ten sam widok omal serce z radości z piersi nie wyskoczy—dorzucił Kazio.

— Prawda—to dziwne—szepnęła do siebie Józia.

— Nie tak bardzo—zauważył ojciec.—To zależy od usposobienia, w jakim na rzeczy lub świat patrzymy. Czy pamiętasz, raz mieliśmy jechać na Bielany; rano wyrzłaś przez okno i w ręce klaskać zaczęłaś.—Czego? zapytałem.—Bo świat dziś taki piękny! Innym razem, mama była bardzo chora, nie spaliśmy noc całą. Rano zaprowadziłem cię do twego pokoju, żebyś się położyła; okno było otwarte, szum drzew słychać było, ranek był śliczny. Przytuliłaś się do mnie i zapłakałaś.—Czego? zapytałem.—Drzewa czegoś tak

smętnie szumią,—odparłaś. Wszak prawda Józiu?

— Prawda, ojezulku.

I rozeszła się gromadka.

A. Dzieduszycka.

Zarozumiały Kazio.

Pamiętacie, młodzi czytelnicy, przed kilku tygodniami wam podany życiorys naszego wielkiego malarza, Matejki? Zapewne wszyscyście się ucieszyli, że taki sławny na cały świat człowiek jest ziomkiem waszym—a nie jednemu przyszło może na myśl, że i on chciałby zostać takim.

Ta sama myśl przyszła do głowy dwunastoletniemu Kaziowi Morzyckiemu, który w samej rzeczy miał zdolność do rysunku. Nauczyciel widział w nim wiele talentu i zachęcał do pilnej pracy—ale Kazio pracować nie lubił, przekonany, że i bez tego dojdzie do wielkich rzeczy. Już to on zawsze, co prawda, widział w sobie wszystko najlepsze, przekonany, że na świecie niewiele jest tak zdolnych i rozumnych chłopczyków, jak on. To też nigdy nie znajdował nic niepodobnego dla siebie i nigdy sobie w niczem winy nie przyznał. Gdy miał zły stopień w szkole, zaręczał, że to niesprawiedliwość nauczyciela—że zmięszał się zagadnięty nagle, ale jednak lekcją umiał doskonale—i tak zawsze tłumaczył się ze wszystkiego. Rodzice ubolewali niezmiernie nad tą wadą syna, bo wiedzieli, na ile przykrości narazi go ona w dalszym życiu. Daremne były ich upomnienia—Kazio zawsze porywał się na rzeczy przenoszące jego siły i nigdy nie przyznawał się do żadnej winy.

Otóż, przeczytawszy artykuł o Matejce, Kazio zamyslił się mocno. Był przekonany, że i on kiedyś będzie sławnym malarzem, że i o nim będą pisać gazety wszystkie—i zawczasu poił się radością na myśl sławy swojej.

— O czem tak dumasz, Kaziu?—zapytał ojciec przechodząc—czy nowy zamiar jaki przyszedł ci do głowy?

— Rzeczywiście, proszę ojca. Myślę jak to

będzie za lat kilka, kiedy zostanę malarzem.

— Proszę ojca—żywo przerwał Kazio—przecież tego mi nie brakuje. Wszyscy mó-



Wandzia nie poznała nawet, co to być miało.

— Malarzem? za lat kilka? żartujesz chyba—kilkunastu potrzeba. Myślisz, że do tego tak się łatwo dochodzi? Trzeba mieć talent...

wią, że mam znakomity talent do rysunku...

— Dziecko moje, to jeszcze nie dowodzi niczego. Talent, nie rozwinięty pracą, nie

doprowadzi do celu—pracy potrzeba, pracy olbrzymiej, na lata rozłożonej, nim się zacz-

— Ojciec mnie chce przestraszyć—rzekł Kazio niechętnie—coś w tym tak bardzo tru-



Ojciec przyłożył do ściany obrazek.

nie malować naprawdę. Zresztą, możesz mieć talent do rysunku, a nie dojść do malarstwa.

dnego?—przecież malarz ma przed sobą wzory, które naśladuje—zawsze można odmalować to, co się widzi.

— Prawdziwy malarz nie bierze myśli z wzoru, który ma przed oczyma, ale przeciwnie do téj myśli wzoru szuka—inaczej jego obraz będzie tylko rzemieślniczą robotą, podobną do każdej innéj.

— Ja też tak samo myślałem—żywo podchwycił Kazio—i dla tego mówię, że to nie tak trudnego.

— Moje dziecko, niemożna tak rozprawić o tém czego się nie rozumie. Nie próbowałeś nigdy malować, a tak wyrokujesz stanowczo.

— I owszem, próbowałem parę razy z panem Żylskim, i bardzo mi dobrze się udawało. Gdybym miał farby, odmalowałbym zaraz cośkolwiek, żeby ojca przekonać.

— Kaziu, ty nigdy się nie poprawisz. Nie uwierzysz, jak mnie boli twoja zarozumiałość.

— Niech mi ojciec pozwoli spróbować, a zobaczy, czy to tylko zarozumiałość.

— Dobrze—zgadzam się, żebyś sam poznał, jak to źle przeceniać swoje siły. Dam ci pudełko farb, parę pędzli—ale pamiętaj, że masz mi pokazać owoc swéj pracy. Cóż odmalujesz?

— Cośkolwiek—co ojciec każe.

— Artystom się nie narzuca przedmiotu. Wybieraj sam.

Kazio myślał długo—nareszcie wzrok jego padł na kilka numerów *Kłósów* i myśl szczęśliwa mu przyszła do głowy, żeby tam wzoru poszukać. Zaczął szybko kartki przerzucać—i wybór padł na robotnika w bluzie szerokiej, o wielkich rękach i muskularnej postawie. Ojciec rzucił nań okiem, uśmiechnął się, nie mówiąc dał mu pudełko farb dobranych i wyszedł z pokoju. Kazio się zabrał do roboty z dobrą miną i zaczął farby nakładać. Ale nieszło mu jakoś—mazał i poprawiał, znowu mazał i coraz mniej był zadowolony z dzieła swego.

Strawił tak parę godzin—pracował aż pot mu występował na czoło—ale zamiast robotnika, który na wzorze tak ładnie wyglądał, wychodziły z pod jego pędzla szkaradne karykatury. Zaczął poznawać, że niedosyć mieć wzór przed oczyma, aby zostać malarzem...

Ale przyszło mu na myśl, że może to on tak wiele od swójej pracy wymaga, może jego oczy zmęczone nie mogą podobieństwa zo-

baczyć—zawołał zatem swójejej siostrzyczki Wandzi, pytając o jéj zdanie—ale jakież palący rumieniec wstydu na twarz mu wystąpił, gdy Wandzia nie poznała nawet, co miało oznaczać to, co Kazio nazywał malowidłem.

Kazio był w rozpacz. Odwaga jego coraz więcej słabła, i po raz pierwszy chyba uznał, że przecenił swoje siły. Nareszcie ze łzami w oczach poszedł do ojca, przyznając, że nie podoła pracy podjętej.

— Widzisz, moje dziecko—rzekł ojciec—do czego doprowadza zarozumiałość. Dziś, jestto tylko strata kilku godzin czasu, przez co na jutro lekcyi nie będziesz umiał—ale w życiu może ci to niepowrotnie zaszkodzić. Pamiętaj zawsze o tém zdarzeniu, które tak dotkliwie zadrasnęło twoję miłość własną—a żebyś nie zapomniał, umieszczę w twoim pokoju na ścianie tego robotnika którego nie potrafiłeś przemalować, aby ci przypominał codzień że zarozumiałość i przecenianie sił swoich, zawsze sprowadzają złe skutki.

I ojciec przyłożył do ściany wspomniany obrazek przytwierdzając go gwoździkami, wprost naprzeciw łóżka Kazia.

J. M.

ROSA.

— Żebyżto jutro była pogoda! żeby się nam ta przejażdżka do lasu udała!—tak mówiła dwunastoletnia Joasia, spoglądając niepokojnie w okno. Niebo jednak było pogodne, tylko na krańcu widnokręgu ukazywało się parę małych chmur.

— Bądź spokojna—odezwał się Kazio, braciszek Joasi, o rok od niéj młodszy—będzie pogoda, bo zrana ogromna rosa była na trawie. Marcin ogrodnik powiada, że rosa, to znak pogody.

— Ej, któżby tam wierzył w te zabobony starego Marcina—odparła Joasia, wzruszając ramionami.

— Nie trzebaż znowu wyobrażać sobie—rzekł ojciec, który usłyszał tę rozmowę dzieci—że wszystkie uwagi i spostrzeżenia wie-

śniaków są zabobonami. Przeciwnie, oni, mając ciągle przed oczyma przyrodę i jej zjawiska, często przez doświadczenie uczą się doskonale rozumieć znaczenie tych zjawisk, chociaż nie pojmują ich przyczyn. Obfita rosa nie jest może zupełnie pewną przepowiednią pogody na dzień następny, ale niewątpliwie dowodzi, że niebo jest zupełnie czyste i nie zasłonięte chmurami. A ponieważ, jak wiadomo, deszczu niema bez chmury, więc Marcin ma słuszość, spodziewając się pogody po obfitej rosie. Ale zapytajcie go, skąd ta rosa pochodzi, z jakich powodów się tworzy, to wam powie zapewne, że ją sprowadza księżyc, albo gwiazdy, lub coś podobnego, a to już będzie niedorzeczność.

— A skądże naprawdę ta rosa się bierze? — zapytał Kazio — bo przecież nie z chmur spada, kiedy ojciec powiada, że wtenczas właśnie jest najobfitsza, gdy chmur wcale niema.

— Bo to ją pewnie rośliny wypuszczają z siebie — zauważyła Joasia — rośliny mają zawsze w sobie dużo wilgoci.

— Nic dziwnego, że ci to przyszło do głowy — rzekł ojciec z uśmiechem — wszakże przed stu laty poważni nawet uczeni mieli podobne wyobrażenia o rosie; czując jednak, że rośliny nie mogą mieć w sobie tak wielkiej ilości wilgoci, zważywszy zresztą, iż rosa nietylko na roślinach, lecz i na martwych przedmiotach osiada, przypuszczali trzy rodzaje rosy: jedna, powiadali, spada z nieba, druga wychodzi z ziemi, a trzecia z roślin, nakształt potu. Tymczasem wszystkie trzy przypuszczenia są fałszywe.

— A więc, skądże naprawdę rosa się bierze, kiedy nie z nieba i nie z ziemi, i nie z roślin... to chyba...

— Chyba z powietrza! — przerwała braciśkowi Joasia.

— Bardzo roztropnie powiedziałas — rzekł ojciec — rosa rzeczywiście pochodzi z powietrza, bo w powietrzu, jak wam już nieraz mówiłem, unosi się zawsze para wodna niewidzialna. Otóż trzeba wiedzieć, że powietrze im jest cieplejsze, tym więcej tej pary wodnej utrzymać w sobie może, ale gdy ostygnie...

— Ależ to zupełnie toż samo, co z deszczem, — wykrzyknęła Joasia — pamiętam dobrze, co dziadzio opowiadał Adasiowi i Zosi o kropli wody; gdy się powietrze oziębi, zaraz para niewidzialna zamienia się w mgłę, z mgły robi się chmura i deszcz kroplami spada na ziemię.

— Mówił przecież ojciec wyraźnie — zauważył Kazio — że rosa nie spada z chmury i wtedy właśnie jest jej najwięcej, kiedy chmur wcale niema. Jakoś to musi być inaczej.

— Gdybyście nie przerywali co chwila — powiedział ojciec — dowiedzielibyście się daleko prędzej o wszystkim.

— Już my będziemy milczeć i słuchać uważnie — mówiły dzieci — tylko niech ojczulek opowiada.

— Deszcz — ciągnął więc dalej ojciec — spada z chmur, które się zbierają wysoko, bo tam powietrze zwykle jest zimniejsze; rosa zaś przeciwnie osiada najobficiej przy ziemi. Łatwo się o tćm przekonać, że trawy i niskie zioła zawsze są więcej daleko zwilżone od wyższych gałęzi i wierzchołków drzew. Już widzę, jak się Joasia powstrzymuje, bo ma ogromną ochotę zapytać, dla czego? Ale ja i sam to zaraz wytłumaczę, tylko musimy zacząć od początku. Gdy ciepłe promienie słoneczne przez cały dzień padają na ziemię, wszystko się na nią rozgrzewa, a przytćm i ziemia i powietrze i znajdujące się na niej przedmioty, zatrzymują w sobie pewien zapas ciepła; co się tyczy powietrza, najwięcej ciepła pozostaje właśnie w tćj parze wodnćj, którą ono w sobie zawsze zawiera. Otóż po zachodzie słońca cała masa powietrza musi się naturalnie znacznie oziębić; wówczas ciepło nagromadzone w ziemi i znajdujących się na niej przedmiotach, zaczyna uchodzić i rozprasać się, a one tym sposobem oziębiają się także. Wszak nieraz, stojąc niedaleko od gorącego pieca, czuliście ciepło, chociaż nie dotykaliście wcale kafli; jakże to ciepło do was dochodziło?

— Ależ to rzecz bardzo zwyczajna, ojczu — odrzekła Joasia — tylko, że ja doprawdy nie wiem, jakim to sposobem się dzieje.

— Bo też często bardzo — rzekł ojciec — nie rozumiemy rzeczy najzwyczajniejszych, na które codziennie patrzymy. Ciepło ucho-

dzi z rozpalonych kafli promieniami, tak samo, jak ciepło słoneczne, mówiąc krócej, promieniuje, i tak promieniuje każdy przedmiot rozgrzany, udzielając swojego ciepła innym przedmiotem chłodniejszym. A teraz powróćmy do naszej rosy: gdy słońce zajdzie i przestanie przygrzewać, ziemia, rosnące na niej trawy i zioła i wszystko, co w ciągu dnia zapas ciepła nagromadziło, zaczyna promieniować, to jest wysyłać to ciepło w daleką, zimną przestrzeń. Pojmujesz, że gdy tym przedmiotom teraz ubywa ciepła, zamiast przybywać, tak jak w dzień, muszą szybko stygnąć, a para wodna, unosząca się dokoła w powietrzu, zastyga także, gdy się zetknie z taką oziębioną trawką, lub kamyczkiem i przybiera postać kropelki rosy. Wszak widzieliście nieraz, jak takąż sama zupełnie rosa osadza się na butelce świeżo z piwnicy przyniesionej, albo nawet na karmelce, którą napełnią zimną, źródlaną wodą.

— To prawda—rzekł Kazio—ja nawet nieraz myślałem sobie, czy ta woda przez szkło przechodzi ze środka, czy co takiego; ale teraz i ja już rozumiem; to para, ta co zawsze buja sobie w powietrzu zaraz się zbiera w kropelki, jak tylko zimnego szkła dotknie, taki z niej zmarzluch.

— Ale jeszcze ojciec nie powiedział—odezwiała się Joasia—dla czego to zawsze więcej rosy jest na ziemi, w trawce, aniżeli wyżej.

— Dojdziemy i do tego—rzekł ojciec.—Powietrze, pozbawione słonecznych promieni, stygnie szybko, a przytém zgęszcza się i staje się cięższe; warstwy najzimniejsze i najcięższe opadają najniżej, na ziemię i tam dla tego najwięcej pary się skrapla i najobficiej występuje rosa.

— Teraz już wszystko rozumiem—rzekła Joasia—bo to nawet wcale nietrudno zrozumieć i doprawdy...

— Ba! wszystko—przerwał Kazio—a o najważniejszej rzeczy ojciec zapomniał. A dla czegoż tylko wtenczas jest dużo rosy, kiedy niebo wypogodzone i niema chmur.

— Ach, prawda!—wołała Joasia—a toż nam szło o to głównie, że Marcin ztąd wróży pogodę.

— Cierpliwości, cierpliwości—rzekł oj-

ciec—właśnie o tém mówić chciałem. Jeżeli zimno w pokoju, a ty się kołdrą przykryjesz, to nie uziębiesz, bo masz w sobie porządną zapas ciepła, a kołdra go na zewnątrz nie wypuszcza.

— Ja myślałam, proszę ojca, że kołdra zimna do mnie nie puszcza.

— Otóż myliłaś się, bo ona tylko zatrzymuje przy tobie własne twoje ciepło, które także musiałoby się ciągle rozpraszać dokoła, rozgrzewając przestrzeń chłodniejszą. Sprobuj, postaw na trawniku stół, ławkę, lub rozwiń na kołkach płócienną szmatę, która osłoni część trawy, a obaczysz, że w tém miejscu zabezpieczoném będzie rosy daleko mniej, albo nawet nie będzie wcale. Ciepło, jak zwykle, zacznie promieniować, ale spotykając zaporę, pozostanie w tej ciasnej przestrzeni i trawa się nie oziębi, więc para nie zastygnie w tém miejscu. A teraz wyobraź sobie, że chmury zawieszone w powietrzu, choćby najwyżej, to także jakby opona, która oddziela powierzchnię ziemi od zimnych oddalonych przestrzeni niebieskich. Promieniowanie nocne zostaje więc tym sposobem powstrzymane, a powierzchnia ziemi nie oziębia się tak silnie, ażeby rosa mogła na niej wystąpić. Jak widzicie, Marcin ma słuszność, mówiąc że przed deszczem zwykle noc jest parna, rosy niema na trawach, a na niebie gwiazd nie widać; my zaś do tych spostrzeżeń Marcina dodamy jeszcze, że przyczyną tego wszystkiego są chmury pokrywające niebo, a ponieważ z chmury zwykle bywa deszcz, więc... resztę zapewne i sami potraficie dopowiedzieć.

M. J. Z.

Z DZIEJÓW SŁAWY.

Stanisław Konarski,

niezaprzeczenie jeden z najzasłużniejszych mężów w dziejach polskiej oświaty, urodził się we wsi Zarzeczcu, w dawném województwie krakowskiem, w roku 1700, dnia 30 września z ojca Jerzego, kasztelana Zawichostskiego.

Pierwiastkowe nauki pobierał Konarski w szkołach XX. Pijarów w Piotrkowie i od młodości odznaczył się jako celujący i zdolny uczeń. Zamiłowanie do nauk, a jasny sposób ich wykładania w tych szkołach, zachęciły siedmastoletniego młodzieńca do pozostania w zakonie, który poczynął już natenczas krzewić oświatę w Polsce. Wdziął sukienkę zakonną w Podolińcu, a po chwaleb-ném ukończeniu tam kursu nauk seminaryjnych, wykladał w klasach wstępnych język łaciński, w rok zaś potém przeniesiony został do kolegium warszawskiego na nauczyciela poezyi.

Wszakże Konarski, nauczając innych, nie zapominał o własném kształceniu; poświęcił się studyum i czytaniu ksiąg pożytecznych, a dając się słyszeć z kazalnicy podczas ważniejszych uroczystości i przy obrzędach pogrzebowych, sławę niepospolitego mówcy zdobył. Na progu więc życia, bo w 25 roku, zasłynął jako niepospolity nauczyciel i kaznodzieja. Wówczas to biskup poznański, Jan Tarło, pragnąc obszerniejsze pole dla niepospolitych zdolności młodzieńca otworzyć, wysłał go swoim kosztem do Rzymu, gdzie dalej się kształcił Konarski, jużto przez wertowanie znaczniejszych bibliotek i archiwów, już przez obcowanie z mężami uczonymi. Lat 4 przepędził w Rzymie.

Obcy równie umieli ocenić zastugi i zdolności Konarskiego, bowiem kolegium naza-reńskie Pijarów w Rzymie powierzyło mu katedrę wymowy i poezyi, którą przez lat dwa z chlubą zajmował.

Z Rzymu Konarski, po zwiedzeniu innych miast włoskich, udał się do Paryża, będącego wówczas siedliskiem oświaty. Tam badał szczególniej systematy wykładu w uniwersytecie i szkołach, a już wtedy zamyslał, aby je z czasem we własnym kraju przeszczepić.

Trafił właśnie na czas, kiedy zdetronizowany przemocą król Stanisław Leszczyński, już podówczas teść króla francuzkiego Ludwika XV, osiadł w zamku Chambord i poświęciwszy się nauce, gromadził dokoła siebie spółczesne znakomitości. Konarskiego ocenił i do siebie przygarnął. Ztąd datuje nierozzerwana przyjaźń pomiędzy królem fi-

lozofem a Konarskim, przyszłym filarem oświaty swojego narodu.

Nadszedł rok 1733, gdy, po śmierci Augusta II, powszechne prawie życzenie narodu Stanisława Leszczyńskiego powtórnie na tron polski powoływało; na prośby wielu znaczniejszych osób napisał i wydał Konarski *Listy przyjacielskie*, zebrawszy w nich główniejsze powody i usprawiedliwienia do wyboru tego króla. Była to pierwsza książka Konarskiego, w której złożył dowody zdrowego zapatrywania się na stan i potrzeby kraju.

A kiedy Stanisław po przybyciu do Polski, pomimo jednomyślnego prawie na tron obioru, ustępując przeważnej sile, w Gdańsku (a) a potém w Królewcu chronić się musiał, Konarski był nieodstępnie przy boku swojego królewskiego przyjaciela.

Gdy Stanisław do Francyi powrócił, towarzyszył mu i w tej podróży Konarski, a tu znów się oddał badaniu nowych systematów nauki i wszystkiego, co dla przyszłego zreformowania kraju mogło być pożytecznóm. Odtąd już całe życie Konarskiego poświęcone było niespracowanemu dążeniu ku podźwignieniu oświaty polskiej, zwyciężeniu politycznych przesądów, polepszeniu skażonego smaku w literaturze i obudzeniu w narodzie chęci do wyrównania we wszystkim cywilizacji zachodu, która go znacznie prześcignęła.

Za powtórny do kraju powrotem począł swoje znaczne marzenia w czyn zamieniać. Uważając, że do rozmaitych nieszczęść narodu przyczyniał się niemało brak stałego kodeksu praw polskich, zajął się z ogromnym trudem zgromadzeniem porozpraszanych statutów i konstytucyj w jedno dzieło, znane pod imieniem *Volumina legum* (zbiór praw) i w roku 1736 zamiar ten skutecznił. Samo to dzieło z takim mozolem szczęśliwie dokonane, ze względu na przysługę całemu narodowi wyświadczoną, starczyłoby do unieśmiertelnienia pamięci Konarskiego.

Będąc profesorem wymowy w kolegium krakowskiem, a następnie w Rzeszowie, zwrócił szczególną uwagę, na podniesienie

kształcenia stanu nauczycielskiego; uzdolnił doń młodsze pokolenie, które z pod jego ręki mistrzowskiej z pożytkiem po kraju się rozeszło, przez co szkoły narodowe ulepszył i do stanu kwitnącego doprowadził. Młodych ludzi okazujących zdolności i chęci, na dal-sze kształcenie za granicę wyprawiał, już to udzielając im zasiłki z pensyi przez Ludwika XV króla francuzkiego sobie wyznaczoną, już zbierając składki od możniejszych swoich krewnych i przyjaciół. W ten sposób zreformowawszy szkoły, zmusił Jezuitów do opuszczenia zadawniałej rutyny nauczania.

Niemniej ważną, a w uskutecznieniu trudniejszą przysługę dla całego narodu uczynił Konarski, przez utworzenie instytutu edukacyjnego dla młodzieży szlacheckiej, pod nazwą *Collegium nobilium*, w Warszawie (na wzór kolegium nazareńskiego w Rzymie), którego 18 Maja 1743 roku pierwszy kamień położył. W tymto instytucie przybrawszy do pomocy znakomitszych nauczycieli ze zgromadzenia Pijarów, kształcąc przedniejszą młodzież, stał się prawdziwym wskrzesicielem nauk w narodzie.

Podobne konwikty prócz Warszawy założył w Wilnie i Lwowie. Upatrując zaś w teatrze środek podnoszenia i kształcenia smaku, przy konwikcie warszawskim urządził i teatr, na którym młodzież grywała sztuki klasyczne, najwięcej francuzkie, Kornela, Rasy, Krebiliona, odznaczające się starannym przekładem.

W swęj żarliwości obywatelskiej, nie przestał Konarski na jednej reformie edukacyjnej, ale sięgnął głębiej, a pragnąc swój naród i w politycznym względzie udoskonalić, zwrócił uwagę na wadliwy i przewrotny sposób odbywania sejmów polskich i na ono niegodziwe, ale zawsze drogie ludziom ambitym i burzliwym *liberum veto* (wolne zaprzeczenie) czyli sposób zerwania ogólnie na sejmie uchwalonej zasady, przez jedno nierozmysłne „nie pozwalam“, które narodowi od wieków tyle klęsk przynosiło.

Pierwszy Konarski wystąpił mężnie przeciw temu, w piśmie pod tytułem: *O skutecznym rad sposobie*, przez które potępiając dotychczasowy niewłaściwy sposób sejmowania,

zdrowe rady na przyszłość dla zniesienia go podawał. Jest zaiste w tém dziele (a śmiało powiemy w tym *czynię*) najszlachetniejsza obywatelska zasługa i odwaga; lecz z drugiej strony pojąć nietrudno, jak musiała powstać przeciw Konarskiemu ciemnych i samolubnych umysłów zgraja i ile tém wywołał zażartych nieprzyjaźni. Przeszła jednak ta burza, prawa zasługa otrzymała zwycięstwo i w końcu niemalą zyskał pociechę Konarski, gdy najzasłużeńsi u steru rządów stojący ludzie, sprawiedliwość mu zaszczytną i zasłużoną oddawali. Co większa, odtąd drzwi jego, w czasie sejmów szczególnie, nie zamykały się; szukano u mędrca, obywatela, zdrowej i zbawiennęj rady.

Z wielu dzieł Konarskiego wychowawczej i politycznej treści, prawdziwie nie wiadomo nad którym bliżej się zastanowić: każda bowiem jego myśl, niemal litera tchnęła zamiłowaniem kraju, miała na celu pożytek i poprawę swojego społeczeństwa, a wszystko możnaby, zaprawdę, drukować złotem! Pisał po łacinie ważne dzieło „O poprawie wad wymowy.“ W innęj znów książce „Rozmowa ziemianina z sąsiadem,“ ubolewał Konarski nad zakorzenionemi wadami, a ztąd nieszczęściami narodu.

Czyli to przez skromność, czy przez obawę oderwania się od zatrudnień naukowych, nie przyjął stopni duchownych, w kraju i za granicą mu ofiarowanych. Także wymówił się od zaszczytu krzesła senatorskiego, ofiarowanego mu podwakoć przez królów polskich. Benedyktowi XIV podziękował za infułę, królowi Augustowi III za biskupstwo przemyskie, a Stanisławowi Poniatowskiemu za inflanckie—i w celi zakonnej przy pożytecznych dla kraju pracach pozostał. Król więc Stanisław August, zawdzięczając Konarskiemu podjęte trudy dla dobra spółziomków, oraz skromność w odrzuceniu tytułów i godności, kazał wybić na cześć jego medal, z wiele znaczącym napisem: *Sapere auso*, co znaczy „temu który się mądrym być ośmielił.“

Posiadał Konarski rzadkie przymioty serca, które zajęte całkiem najczystsza miłością ojczyzny, najbardziej się o dobro ludzi troskało. Mimo słabowitego i pracami nadwą-

tlonego zdrowia, przy skromnym sposobie życia doczekał 73 roku, i z rzadką przytomnością, a widocznym spokojem umysłu, jako mąż duszy nieskażonej, odszedł po nagrodę wielkich czynów swoich, dnia 3 Sierpnia 1773 roku.

Roman Gryf.

S z a r a d a.

Pierwsze drugie, to wy sami,
Albo braciszkwowie;
Drugie pierwsze, za morzami
Miasto się tak zowie;
Bardzo smaczne drugie trzecie
W zimnej galarecie;
Wszystko—zawsze ulubione,
Świeże czy smażone.

Łamigłówka liczbowa. (S. P.)

Z dziewięciu liter 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, pseudonim poety. Ustawiając litery, jak następuje, otrzymujemy:

1, 4, 5, rodzaj płynu.
5, 4, 3, 9, część drzewa.
8, 9, 5, wyrób z żywicy.
5, 4, 1, ptaka.

1, 2, 3, 9, wyspę.
4, 7, 9, 3, imię kalifa.
3, 4, 8, 9, nazwę ziemi.
5, 6, 1, 9, narzędzie rolnicze.

5, 9, 3, 1, miasto w Azji.
4, 5, 6, organ zmysłu.
1, 7, 6, 5, zwierzę bajeczne.
3, 4, 5, miarę czasu.

Łamigłówka zgłoskowa. (Wład. J.)

Z piętnastu zgłosek: cet—char—dra—giz—i—ir—jaż—ko—lek—li—mar—o—te—tum—wa—ułożyć ośm wyrazów jak następuje: 1) Imię męzkie, 2) Rzeka w Europie, 3) Ryba,

4) Miasto w Afryce, 5) Rzeka w Azji, 6) Miasto w południowej Francji, 7) Owad, 8) Rzeka w Azji.—Pierwsze litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwisko, ostatnie w tymże samym kierunku, imię zasłużonego pisarza polskiego, zmarłego niedawno.

Łamigłówka kryształowa. (M. J.)

- 1) Spółgłoska.
- 2) Zamek starożytny.
- 3) Naród.
- 4) Wybrzeże morskie na północy.
- 5)
- 6) Miasteczko w Polsce.
- 7) Dawny gród słowiański.
- 8) Organ zmysłu.
- 9) Samogłoska.

Rzęd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko miejsca sławnego w przemyśle polskim.

Rozwiązania do Nru 31.

Zagadki: Sok—Kos.

Łamigłówki zgłoskowe:

Obelisk.
Solano.
Tan.
Romulus.
Okręt.
Garda.
Szczepan.
Kot.
Indusy.

Ostrowski—Konstanty.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Annie J. we wsi Niszówce. Wysłaliśmy „*Les Contes des Anges*“ par le P. Faber, oraz grę p. t. „*Podróż na około świata*“ Verne'a. Należy się nam jeszcze kop. 65.

Panu Feliksowi Ż. w Kamieńcu Podolskim. W nadesłanym liście brakowało kop. 55. Komplet „*Wieczorów Rodzinnych*“ z I półroczia od 3 Stycznia do 1 Lipca 1880 r.) są jeszcze do nabycia w Redakcyi. Jeden podobny komplet kosztować będzie z przesyłką rs. 2 k. 55.

Karuni Gr. Rozwiązanie łamigłówki zupełnie jest trafne i bardzo ładną kaligrafią napisane. Wielu młodych naszych prenumeratorów nadsyła nam łamigłówki, które chętnie zamieszczamy, jeśli są według wszelkich prawideł ułożone i czytelnie napisane. Przypominamy przy tej sposobności, że nie można dla ułatwienia zamiast j pisać i, zamiast n, albo zamiast z z, jeśli te litery mają odpowiadać pewnym nazwiskom. Takie myłki spotykamy najczęściej w nadsyłanych łamigłówkach, których z tego powodu drukować nie możemy.

Handzi w Udryjowcach Dobrze się na ten raz stało, że się Nr. Pisma troszkę spóźnił, kiedy to opóźnienie pobudziło kochanego leniuszka do napisania tak ładnego liściku. Szczere przyznanie się do winy jest już początkiem poprawy, a dobre chęci, przy pomocy Bożej, nie mogą pozostać bezskuteczne.

Pani Helenie T. w Włocławku. Historia powszechna dla dorastającej młodzieży wyborna jest Holtzwartha, wydana w polskim przekładzie staraniem Przeglądu Katolickiego. Co się tyczy gramatyki, oprócz tych, które pani wymieniła w liście swoim, możemy wskazać tylko małą gramatykę Jeskego dla początkujących. Najtrudniej jest jednak wynaleźć historią literatury polskiej, odpowiadającą w zupełności warunkom określonym przez panią. Literatura Sowińskiego będzie naturalnie zbyt obszerna,

niedawno wydana Wójcickiego (mniejsza) zanadto znów pobieżna. Sądzymy, że najstosowniejszą byłaby wydana w Krakowie literatura Mecherzyńskiego, autora dobrej także stylistyki.

Ogłoszenia:

ŚWIĘTY FELIKS, PATRON DZIATEK.

OPOWIADANIE DLA DZIECI,

przez

O. Prokopa, kapucyna.

(Z trzema rycinami, na pięknym papierze: 60 kop.,

z jedną ryciną 20 kop.).

Dzieło to autora zaszczytnie znanego z licznych prac religijnej treści, gorąco polecamy naszym czytelnikom.

PANIENKI uczęszczające do zakładów naukowych, mogą znaleźć każdego czasu wygodne pomieszczenie, wszelką pomoc w naukach, muzyce i najtroskliwszą opiekę.—Cena umiarkowana.

Ulica Nowogrodzka—Nr. 20 Lit. A. trzecie piętro.

M. Gąsiorowska.

Dla prenumeratorów *Wieczorów Rodzinnych* są do nabycia w Redakcyi: **Pogadanki Naukowe przez Autorkę Wieczorów Czwartkowych**, za cenę zniżoną 30 kop., z przesyłką pocztową 40 kop., oraz **Wakacje Janka i Zosi**, tejże autorki, kop. 75, z przesyłką pocztową kop. 85 **Podwieczorki u Jądzki przez Jaskółkę**, w ozdobnej oprawie, z kilku drzeworytami kop. 90, z przesyłką pocztową rs. 1.

— **Sprostowanie.** W Nrze 32 *Wieczorów Rodzinnych* na str. 474, szp. 1, w. 18 od dołu, zamiast *załóg* czytaj *zastaw*.

Treść.—Indyki, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Na letniem mieszkaniu, przez Wł. Nowickiego, (ciąg dalszy).—Czytania wieczorne, przez A. Dzieduszycką.—Zrozumiały Kazio, (z drzeworytami), przez J. M.—Rosa, przez M. J. Z.—Z dziejów sławy, przez Romana Gryfa.—Łamigłówki.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenia.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюля 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemiakiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.